

**XVIII Ogólnopolski Konkurs Literacki im. Marii Komornickiej**  
**Kozienicki Dom Kultury im. Bogusława Klimczuka – KOZIENICE 2020**  
**Bartosz Konstrat – kategoria dorośli – proza – I miejsce**

**Godło: Dadaizm**

**Surrealna Igraszka**

Moje dzieciństwo było takie dziwne. Czasami wydaje mi się, że w ogóle go nie było. Może pojawiłem się od razu taki jak teraz, dorosły i skończony? Może pojawiłem się właśnie przed chwilą, zupełnie znikąd, w otchłani czasu, z dziury w przestrzeni, z jakiegoś zagubionego wymiaru, a wszystko co nazywam swoją przeszłością, to tylko wyobraźnia lub sen?

Tak mi się czasami zdaje, bo wszystko co pamiętam, jest takie dziwne. Na przykład moja matka. Nigdy nie powiedziała do mnie nawet słowa, a kiedy zbliżał się wieczór, zamiast do łóżka wchodziła do obrazu na ścianie. Jakby była tam namalowana! Nigdy nie wiedziałem, do którego świata należy, czy do tego, w którym żyłem ja, czy do tego z obrazu. Kilka razy szedłem za nią i też chciałem wejść w obraz, ale nie udało mi się to. Jakby przestrzeń nagle zamykała się przede mną i uderzałem głową w powierzchnię płótna zamalowana farbami olejnymi.

No, powiedzcie sami, czy to nie dziwne? I nie przypominam sobie, żeby chociaż raz było inaczej! Nie. Każdego wieczoru matka wchodziła do obrazu, a każdego ranka z niego wychodziła. Pomyślcie no tylko, jak to musiało na mnie wpłynąć! Nic dziwnego, że dzieci w szkole nie chciały się ze mną przyjaźnić i zawsze musiałem bawić się sam. One coś przeczuwały, widziały coś w moich oczach, fascynowałem je, ale jednocześnie się mnie bały. A przecież to nie była moja wina, ja chciałem być jak wszyscy inni mali chłopcy!

Ale to było niemożliwe. Mój ojciec też nie był zwyczajnym człowiekiem. Całymi wieczorami siedział pod obrazem, w który wchodziła matka i płakał. Wiedziałem, że ją kocha i że nie rozumie, dlaczego ona się tak zachowuje. Tęsknił za nią, bo nie mógł mieć jej w nocy obok siebie. Próbowiałem go pocieszyć, ale nic nie pomagało. Proponowałem, żebyśmy zagrali w warcaby, ale on nie mógł się skupić i bez przerwy przegrywał. Byłem na niego zły, bo nie poświęcał mi wystarczająco dużo uwagi, ale też rozumiałem jego melancholię i najczęściej po prostu zakładałem mu na ramiona marynarkę i szedłem spać.

Dnie zresztą nie były mniej dziwne niż wieczory. Ociec przeważnie wychodził z samego rana obrządzać zwierzęta, a ja jadłem śniadanie z matką. Nie umiała gotować, więc jedzenie było pozbawione smaku, za słone lub przypalone. Udawałem, że mi smakuje, bo marzyłem tylko o tym, że pewnego dnia ona powie do mnie chociaż jedno słowo. Ale matka nawet nie patrzyła mi w oczy, kręciła się koło kuchni, dorzucała drewno do pieca, szczekała garnkami, ale mnie traktowała z wyniosłą obojętnością. Czasami wydawało mi się, że może w ogóle nie jestem jej synem, może po prostu ktoś dał mnie jej na wychowanie lub podrzucił i nie miała wyboru?

Kiedy pojawiały się takie myśli, ogarniał mnie niewysłowiony smutek. Szedłem wtedy do lasu i przytulałem się do drzew. Wyobrażałem sobie, że to one są moimi najbliższymi krewnymi, że to z nich się narodziłem. Zamykałem oczy i godzinami wsłuchiwałem się w ich szum. Tak, one do mnie przemawiały. Staralem się zrozumieć słowa, które niósł do mnie wiatr. Ale to nie były ludzkie słowa, to były słowa dębów, brzoź i grabów. Było w nich coś uspokajającego, jakby chciały mi zaśpiewać kołysankę, zapewnić, że pewnego dnia wszystko się jakoś ułoży.

Niestety, nie mogłem przecież zamieszkać w lesie, mimo że moja matka zamieszkiwała w obrazie. Dlatego później lub prędzej wracałem do domu i zgłodniały, zabierałem się za jedzenie kolacji. Te przyrządzał zwykle ojciec, dlatego była smaczniejsza niż śniadanie. Stawiał przede mną zazwyczaj wielki talerz z jajecznicą i dwie kromki chleba, a do tego kubek kakao. Mowa drzew i te kolacje to były moje najprzyjemniejsze codzienne doświadczenia z dzieciństwa. W oczach ojca widziałem już lęk, bo wiedział, że matka za chwilę wejdzie do obrazu, a my zostaniemy sami, jak zwykle porzuceni przed ciemnością nadchodzącej nocy.

Od tej rutyny różniły się wszystkie niedziele. Śniadanie jedliśmy zazwyczaj nieco później, a po nim szliśmy nad rzekę. Jej koryto wiło się malowniczo wśród łąk i cieszyłem się, że będę mógł patrzeć na ryby pływające w spokojnym nurcie, a także przypatrywać się swojemu obliczu w niemal gładkiej tafli wody. Wiedziałem też, że ojciec będzie puszczał kaczki i będzie z siebie zadowolony, jeśli uda mu się pobić rekord w ilości odbić kamienia od powierzchni rzeki. Tak, te wyprawy mogły być takie piękne. Rosnący przy brzegu tatarak, pasące się w pobliżu krowy, rozległe zielone przestrzenie... Nad rzeką było naprawdę pięknie.

Niestety, matka zdawała się tego nie dostrzegać. Miała srogi wyraz twarzy, siadała odwrócona do nas bokiem i wpatrywała się w dno rzeki, jakby tylko jego pragnęła. Teraz myślę, że była w niej tęsknota śmierci, że życie ledwie się w niej tliło, a śmierć ogarniała jej ciało płomieniem.

Dlatego po kilku minutach matka najczęściej zaczynała płakać i nie dało się jej pocieszyć. Ociec posuwał jej niemal pod nos kawałki pysznego ciasta i ciepłą herbatę, ale ona nie miała ochoty. Gestem ręki pokazywała, żebyśmy zostawili ją w spokoju. Ale przecież nie mogliśmy tego zrobić. Tylko z nią tworzyliśmy całość, bez niej byliśmy niekompletni, bezradni, opuszczeni. Wydaje mi się, że matka o tym wiedziała, dlatego w końcu przestawała płakać i wracaliśmy do domu. Tu popadała w swoją posępną obojętność i chociaż siedziała z nami przy stole, to była nieruchoma jak postać z obrazu.

Tak właśnie wyglądało moje dzieciństwo. Ale czy to w ogóle możliwe, czy nie wyobraziłem sobie tego z jakiegoś powodu? Wydaje mi się, że nie, ale kto może być pewien takich rzeczy ...

Kiedy dorosłem, moje życie wcale nie stało się normalniejsze. Wyprowadziłem się od rodziców, ale zamieszkałem w pobliżu, a pierwsze, co zrobiłem, po przenosinach do nowego domu, było zamówienie kopii obrazu, który wisiał na ścianie u rodziców. Dopiero teraz, gdy malarz pracował, siedząc naprzeciwko oryginału, dokładnie przyjrzałem się dziełu.

Przedstawiało ono wielką komnatę, jakby w jakimś zamku, zupełnie pustą, straszną od tej rozległości i pustoty. Jej podłoga była pomalowana w ciemnożółte, niemal pomarańczowe i czarne kwadraty, które tworzyły idealną szachownicę. Po lewej stronie znajdowało się duże łóżko z baldachimem i bogato zdobiony, złoty tron. To na nim zazwyczaj siadała matka, gdy wchodziła do obrazu. Czasami kładła się też do łóżka i przykrywała aksamitną kołdrą, tak że ledwie było widać czubek jej głowy. Po prawej stronie komnaty znajdowało się wielkie okno, jakie widzi się czasami w zabytkowych zamkach. Nie było w nim firan, ani zasłon, za to do środka wpadało intensywne światło słoneczne, które zalewało całą komnatę jakąś boską, złotą jasnością. Obraz był olbrzymi, zajmował niemal całą ścianę, a już więcej nic na nim nie było, nic więc dziwnego, że szachownica podłogi i czerwień ceglanej ściany sprawiały niemal obezwładniające wrażenie.

Nie wiem właściwie, po co zamówiłem kopię obrazu, ale czułem, że bez niej moje nowe miejsce zamieszkania będzie jakieś niekompletne. Ojciec chciał oczywiście, żebym zabrał oryginał, myśląc, że dzięki temu odzyska matkę na czas nocy, ale ona się nie zgodziła. Widziałem jego rozczarowanie i narastający w nim brak nadziei. Był więźniem, któremu odebrano szansę na skrócenie wyroku.

W końcu malarz ukończył kopię i zawiesiłem ją w salonie mojego domu. Musze przyznać, że wykonał dobrą robotę: obu płócien niemal nie można było odróżnić.

Zastanawiałem się co to znaczy. Nic nie przychodziło mi do głowy, to znaczy żadne myśli, bo w ciele coś jednak czułem, jakieś ciepło, jakieś mrowienie, uczucie którego nie potrafiłem nazwać. Wieczorem próbowałem wejść do obrazu, ale i tym razem mi się nie udało. Również pod tym względem kopia nie różniła się od oryginału...

Kilka dni później obudziłem się w środku nocy i poczułem niedające się przezwyciężyć pragnienie. Chciało mi się pić, ale chodziło też o coś innego, o tęsknotę za czymś, o wypełnienie pustki, która nagle pojawiła się w moim ciele. Zszedłem do kuchni, nalałem sobie mleka i poszedłem do salonu, żeby je wypić. Zapaliłem światło i odruchowo spojrzałem na obraz. Jakież było moje zdziwienie, gdy ... zobaczyłem na nim moją matkę! Siedziała nieruchomo na krześle, jakby była namalowana postacią, chociaż wiedziałem dokładnie, że malarz jej tam nie umieścił!

Usiadłem w fotelu lekko przerażony, chociaż przecież wydarzenia mojego dzieciństwa przyzwyczyły mnie do tej niezwykłości. Jeśli jest na moim obrazie, to czy nie ma jej na obrazie w domu mojego ojca? Jeśli pojawiła się na moim obrazie, to czy jutro rano z niego zejdzie? Takie pytania zadawałem sobie, pijąc mleko. Czułem jak zimna ciecz przepływa przez mój przełyk i ląduje w żołądku, a jednocześnie czułem jakiś chłód duchowy, jakby coś zabierało ciepło z całego mojego życia.

Nagle zerwałem się na równe nogi. Niemal instynktownie pobiegłem przez mrok do domu moich rodziców. Zacząłem walić w drzwi. Ojciec widocznie nie spał, otworzył mi niemal natychmiast. Powiedziałem mu, co mnie do niego sprowadza. Razem popatrzyliśmy na obraz w jego salonie: tu również siedziała moja matka, a jego żona, w pozie identycznej

jak na moim malowidle. Ojciec tylko machnął ręką, ja wróciłem do siebie i położyłem się do łóżka. Początkowe zdziwienie mnie opuściło, teraz cała sytuacja zdawała się idealnie pasować do całego mojego życia.

I tak sobie mieszkaliśmy. A obrazy, na których wieczorami pojawiała się moja matka, były centrum naszego świata. Wydaje mi się, że mieliśmy dla nich niemal religijną cześć.

Próbowałem ciągle poznać dziewczynę, z którą mógłbym się związać, ale jakoś mi to nie wychodziło. Chyba byłem zbyt wstydlivy. Bałem się do nich zbliżyć, a o to im prędzej lub później chodziło. Wydaje mi się, że czuły instynkt macierzyński i chciały, żebym miał z nimi dziecko.

Kiedyś przez jakiś czas spotykałem się z Emilią. Początkowo chodziliśmy na spacerunki do lasu lub na lody, ale potem ona chciała przyjść do mnie do domu. Przestraszyłem się tego i przestałem odbierać od niej telefony. Tak samo było właściwie z każdą dziewczyną. Nie wiedziałem czego konkretnie się boję, ale mimo to strach był przerażający.

Te doświadczenia spowodowały, że zaczął narastać we mnie olbrzymi smutek. Był jak ciężar, który sprawiał, że trudno było mi nawet wstać z łóżka.

Pewnego dnia poszedłem do rodziców. Chciałem, żeby było jak dawniej, gdy byłem dzieckiem. Powiedziałem im o tym, zaproponowałem nawet, że z powrotem przeprowadzę się do nich. Ale ojciec popatrzył na mnie w taki dziwny sposób. Czułem, że nie podoba mu się to, że jest mną rozczarowany. W oczach matki widziałem więcej przyzwolenia, ale nie sprzeciwiła się swojemu mężowi.

Dlatego w niedzielę zacząłem chodzić sam nad rzekę. Wybierałem dokładnie to samo miejsce, gdzie wcześniej bywałem z rodzicami. Siedziałem na kocu, nalewając sobie herbaty z termosu, odwijałem ciasto z folii kuchennej. I czułem nieskończony smutek i samotność. Mój wzrok mimowolnie kierował się w kierunku dna i teraz wiedziałem już dokładnie, co czuła moja matka. To było przekleństwo, które przeszło z niej na mnie. Oboje za bardzo baliśmy się życia i dlatego gdzieś w głębi pragnęliśmy śmierci. Ale to pragnienie zawsze zatrzymywało się gdzieś na skraju spełnienia, dlatego wciąż żyliśmy, ale w taki posępny, niekompletny sposób.

Dlatego z wiekiem coraz częściej zdarzało mi się budzić w nocy, schodzić do salonu i patrzeć na matkę na obrazie. Nie mogłem oderwać od niej wzroku, a jednocześnie nienawidziłem jej. Zastanawiałem się, co stanie się, gdy pewnego dnia ona umrze, czy będzie to oznaczało dla mnie wyzwolenie? Ta myśl nie przestawała mnie prześladować, a jednocześnie czułem się winny z jej powodu, bo w pewien sposób pragnąłem śmierci własnej matki...

Matka rzeczywiście pewnego dnia umarła, choć jestem pewien, że nie miało to nic wspólnego z moimi myślami. Po prostu zestarzała się i umarła. To było w jesieni, podczas jej ulubionej pory roku. Byłem przy jej łóżku, gdy odchodziła i pragnąłem, żeby przynajmniej w tej chwili coś do mnie powiedziała. Zadowoliliby mnie nawet jedno słowo. Ale nic takiego się nie stało.

Dwa dni po śmierci pochowaliśmy ją i wróciliśmy z ojcem do jego domu. Siedzieliśmy w kuchni i czuliśmy się jak dwaj obcy mężczyźni. Bez niej wszystko było jakieś dziwne. Nie płakaliśmy, bo wstydziliśmy się siebie nawzajem. Dlatego po jakiejś godzinie wróciłem do siebie.

Dopiero w samotności pozwoliłem sobie na płacz. Wiedziałem, że od tego dnia już nie będzie takie samo. W łazience zobaczyłem swoją twarz w lustrze. Chyba nie patrzyłem w nie od wielu lat. Niemal siebie nie poznałem. Nie wiadomo kiedy stałem się starym człowiekiem. Moja matka żyła bardzo długo, umarła w wieku niemal dziewięćdziesięciu lat. Nagle zrozumiałem, że jej śmierć niczego nie zmieni. Dla mnie było już za późno na cokolwiek, również mnie życie dobiegało końca.

Przez całą noc siedziałem naprzeciw obrazu, zastanawiając się, czy matka pojawi się na nim. Ale malowidło było puste. Budziłem się przez kilka nocy z rzędu, a matki nigdy nie było na obrazie. Zrozumiałem, że opuściła mnie na dobre. Poszedłem do ojca i zapytałem, jak wygląda sytuacja u niego. Było tak samo: wizerunku matki nie było na obrazie.

Tak właśnie wyglądało moje życie. Nawet nie zauważyłem, kiedy się zaczęło i niemal przegapiłem jego koniec. Dni płynęły jeden za drugim, a ja ciągle myślałem, że mam przed sobą dużo czasu, że jeszcze wszystko mi się uda, a to było tylko złudzenie, dziecinne marzycielstwo.

Ale może tak jest z każdym człowiekiem? Może inaczej się nie da? Trzeba wymyślać sobie te niemal niemożliwą historię swojego życia, bo rzeczywistość jest zbyt bolesna?

Tydzień po pogrzebie matki zrobiłem to, co powinienem był zrobić już dawno: zniszczyłem obraz. Pociąłem go nożem na małe kawałki, a ramę porąbałem siekierą, a później wszystko spaliłem w piecu. Po wszystkim poszedłem nad rzekę i siadłem w tym samym miejscu, co zawsze. Zaczął padać deszcz i wydawało mi się, że wszystko się w nim rozpuszcza, cały świat, a potem spływa do spokojnego nurtu i jest dokądś unoszony, do jakiegoś odległego, nieistniejącego morza.

Ale to było tylko złudzenie. To tylko my powoli znikaliśmy z powierzchni planety, cała moja rodzina, która kończyła się na mnie. To był tylko nasz osobisty koniec świata. Wszyscy inni mieli się doskonale.

Kiedy to zrozumiałem, poczułem nagłą lekkość. Niczego już nie musiałem, poddałem się biegowi czasu. I wydawało mi się, że z dna rzeki uśmiecha się do mnie matka. I że coś mówi, ale nie rozumiałem słów, bo tłumiła je woda. Matka otwierała usta, jak ryby otwierają swoje pyszczki, nadaremno. Ale co nie jest właściwie nadaremno?